

Prenumerata w miejscu.

rocznie rs. 3 kop. —
półrocznie rs. 1 kop. 50
kwartalnie rs. — kop. 75

Za odnośnienie do domu kwartalnie kop. 10.

Cena pojedynczego numeru kop. 7 i pół.
z przesyłką:

rocznie rs. 4 kop. 40
półrocznie rs. 2 kop. 20
kwartalnie rs. 1 kop. 10

Biuro Redakcyi i ekspedycja główna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują: Redakcyja, obiedwie księgarnie w Petrokowie, oraz po zagranicami guberni petrokowskiej wyłącznie agentura „Rajchman i Frenkler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Petrokowie Biuro Redakcyi i obie księgarnie. w Czestochowie „Nowa księgarnia” — prócz tego.
w Czestochowie W. Zieliński w Łasku W. Grass.
w Będzinie „Janiszewski Stan.” w Łodzi „Janiszewski Leopold.
w Brzezinach „Kramieniewski Jul.” w Radomsku „Ruszkowski Erazm.
w Dąbrowie „Dziwiatkiewicz J.” w Rawie „Szewłodziński.

Ogłoszenia.

za 1 razowe po kop. 7 za wiersz petitu lub za jego miejsce.
za 2—6 razowe po kop. 4 za wiersz.
za 7—10 razowe po kop. 3 za wiersz.
Cena ogłoszeń na pierwszej stronie podwójna.
Reklamy po 10 kop. za wiersz petitu.
Cena ogłoszeń zagranicznych po 10 kop. od wiersza.

TYGODNIK

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

Do sprzedania

DOBRA ZIEMSKIE

jedne zawierające włók 60 w czem 20 włók lasu, z fryszerką, młynem i propinacją; drugie rozległe włók 18 w dwóch telwarkach. Warunki przystępne. Wiadomość bliższa u W-go F. Jędrzejewicza, właściciela księgarni w Petrokowie. (3—2)

DZIERŻAWA

do odstąpienia zaraz lub od 1-go Jana 1884 r., odległa o wiorst 8 od Kielec i kolei, rozległa 400 mor., ze znaczną propinacją. Wiek kościelna. Kontrakt spisany na bardzo dobrych warunkach. Zgłosić się do W-go Sędziego Troczewskiego w Kielecach. (3—3)

DO SPRZEDANIA NA DOGODNYCH WARTUNKACH

Posesya murowana

w Noworadomsku, przy zbiegu dwóch ulic położona, i jednym bokiem ze stacją drogi żelaznej od strony ekspedycyi granicząca. Obejmuje ona przestrzeń do 32,000 łokci kw. i zawiera: ogród, dom i oficynę mieszkalną, zabudowania gospodarcze, oraz obszerny spichlerz. Posesya ta, oprócz bardzo dogodnych i przyjemnych do zamieszkania lokali, przydatną jest z położenia swego i dostatku wody, na wszelki zakład przemysłowy lub handlowy. Hypoteka uregulowana. Bliższa informacja w Redakcyi „Tygodnia”, lub w Radomsku u A. Dobrzańskiego. (0—6)

— Biuro redakcyi mieści się na 1-szem piętrze w oficynie, w domu p. Michelsona, obok Magistratu. Dla interesantów otwarte codziennie od godziny 2 do 4 po południu. — Ogłoszenia przyjmowane są w tym samym czasie.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— Kto pilnie śledzi rozwój społeczny ludów w ostatnich czasach, ten wie dobrze, że dążeniem ich jest zdobycie ekonomicznej i cywilizacyjnej dla siebie potęgi.

Oświata i pomnażenie bogactw narodowych, oto hasła ogarniające coraz szersze umysły—oto hasła, które zmuszają i nas do bezustannej pracy, czujności i rozwagi.

Niema ani jednego narodu, nie było ani jednego społeczeństwa, któreby odegrało jakąkolwiek rolę w historii świata, ażeby nie było zmuszone ciężką pracą i mozołem zdobywać dla siebie prawa swojego rozwoju.

Spółczeństwo nasze od lat dwudziestu, gdy pod technieniem nowych ideałów ludzkości prysnęły przesądów lody, dało dowód energii i żywotności w gromadzeniu duchowych i ekonomicznych zasobów. W dążeniu tem jednak do ogólnego dobra, praca u nas jest połowiczna, — dla ludu bowiem, przygniecionego dotąd jeszcze żelazną stopą ciemnoty, nie robi się prawie nic, a przynajmniej bardzo niewiele.

Chcemy tu mówić, woła Echo, o oświacie ludu w naszym kraju! Każdy przyzna,

że to, co u nas zrobiono dotąd dla oświaty ludu jest, zerem! A że tak jest, możemy mieć dowód z ilości szkół ludowych w naszym kraju, z ilości czasopism i książek wydanych dla niego, których liczba jest więcej jak homeopatyczna.

Że to jest złem, nikt się przecież z nami spierać o to nie będzie, gdyż każdemu wiadomo, że od właściwego poziomu oświaty ludu zależy najgłówniej postęp i szczęście tak wielkich, jak i małych narodów.

Narody zaś wszystkie, które bogactw ekonomicznych i utraconego stanowiska w cywilizacyi dobijać się muszą żelazną wolą, pamiętać winny, że praca u podstaw jest jednym z najpierwszych ich obowiązków.

W epoce, w której żyjemy, niema nie pilniejszego „jak nieść oświaty kaganiec” tam, gdzie jej najbardziej potrzeba t. j. pod wieśniaczą strzechę.

Wiemy, że w kraju naszym i cesarstwie ziemia znajduje się w znacznej części w rękach ludu—a czem jest lud nasz i w Rosyi dotąd jako czynnik społeczny, wiemy również wszyscy. Jeżeli zaś wiemy o tem—to nie żądamy postępu rolnictwa bez oświaty, nie żądamy, by lud poszedł naprzód.

My dotąd jesteśmy przecież narodem rolniczym: „ażeby zaś naród rolniczy—mówi ekonomista—uczynić narodem rzeczywistym, należy równocześnie podnieść wieś i miasta: tu ożywić przemysł rzemieślniczy, tam nadać rolnictwu kierunek wyższy, przemysłowy, należy lud wiejski podnieść umysłowo! Środkiem wiodącym do celu tego—mówi ekonomista—jest oświata powszechna, za którą idzie: moralność, oszczędność, pracowitość i cywilizacja.”

Do pracy więc u podstaw, do pracy bezustannej nawoływać należy zawsze, gdyż ożywiają siłą każdego narodu i podwaliną jego wszechstronnego rozwoju jest oświecony lud wiejski.

Gdy on nie posuwa się cywilizacyjnie naprzód—narody jałowięją, i muszą, pozbawione naturalnych soków żywotnych, unierać na anemię umysłową i ekonomiczną!

— Koncert amatorski. Fakt niesienia pomocy kształcącej się młodzieży znajdował u nas zaszczytne zawsze uznanie; z przyjemnością też dowiedzielismy się i tym razem o gorącym poparciu tej myśli wśród amatorów znanych już szerszemu kołu publiczności.

W dniu 11 lutego danem będzie na cel powyższy muzykalno-dramatyczne przedstawienie, które między innymi mają uświetnić swym współdziałaniem pani Deryng—Walewska, pani Uszyńska (śpiew) i pan Wł. Klawer (fortepian).—Nie wątpim, że nie tylko piękny cel, lecz i wspomniane nazwiska, oraz sam dobór sztuki w programie, potrafią zachęcić naszą publiczność do spiesznego rozkupienia biletów, i przyczynienia się przez to do zebrania tak potrzebnego dla ubogiej młodzieży funduszu.

— Teatr. Dnia 16-go b. m. towarzystwo pp. Trapszy i Kremkiego przedstawiło *Dom Otwarty* komedję oryginalną w 3-ach aktach M. Bałuckiego, graną u nas po raz pierwszy. Gra artystów była wogóle bardzo dobra—a i sztuka podobała się bardzo, szczerze rozweselając zebraną publiczność, z powodu balu, publiczność. To też zapewne Dyrekcyja jeszcze raz ją przedstawi na ogólne żądanie. W niedzielę odegrano komedję tłumaczoną z francuzkiego p. t. *Mąż na wsi*, która byłaby wyszła daleko lepiej, gdyby role nie zostały tak niewłaściwie rozdane; rolę bowiem pani Jezierskiej powinna była dostać panna Milewska panią Kremką zaś zastąpić była winna pani Jezierska; wreszcie jakkolwiek p. Trapszo grał jak zawsze wybornie, rola T. Columbet wymaga koniecznie młodszego bochatera. O maskaradzie, która miała miejsce zaraz po niedzielnej przedstawieniu, niema co mówić, gdyż maski niedopisały. We wtorek ujrzelismy *Gioblistów*, przerobioną na scenę powieść „Ultimo” Mozera. Rzecz jakkolwiek uwieńczona nagrodą, a może dlatego właśnie, nieszczególna, ani pod względem scenicznego układu, ani prawdy życiowej; pomimo to, jako bardzo wesola, zjednała sobie dostateczne uznanie. Trzeba przyznać, że szanowna Dyrekcyja, pomnaśnać na karnawał, darzy nas samym śmiechem; ze wszystkich jednak wesołych „kawałów” najwięcej miał treści i najwięcej przedstawiał zajęcia „Dom Otwarty.”

— Zeszłosobotni, drugi z kolei bal na ubogich miasta, jakeśmy przewidywali udał się wybornie. I znowu par tańczących było przeszło 40; było też bardzo dużo gości przyjezdnych ze wsi. Bal 3-ci, na tenże dochód zapewne również dobre będzie miał powodzenie, tem więcej, że tegoroczny karnawał nader ubogim okazał się w prywatne wieczorki, które, naturalną koleją rzeczy, zastąpić należy zebraniem publicznymi.

— Trzeci i ostatni wieczór tańczący na ubogich miasta ma się odbyć, w sobotę dnia 9-go lutego b. r. Ceny biletów wejścia: dla dam 1 rs., dla mężczyzn 2 rs. Początek zabawy o godzinie 9-iej wieczorem.

— Rada Nadzorcza tutejszej Straży Ogniowej Ochotniczej podaje do publicznej wiadomości, że w dniu 3 Lutego r. b. w niedzielę po południu, odbędzie się akt wyborów na rok 1884 starszyny straży ogniowej ochotniczej, na który zapraszają się tak członkowie czynni, jak honorowi, niezależający w opłacie składki. Dla członków czynnych uniform strażacki, dla honorowych zaś kwit z opłacenia składki w ostatniej racie, otwierac będą wstęp na powyższe zebranie. — Składki na ucztę przyjmuje kasa straży w aptece W-go Rompalskiego.

— Kradzieże. W wigiliję d. 24 z. m. skradziono dużego, pięknego, czarnego psa dwuletniego, z rodzaju foxów. W dniu 5 b. m. i r., do dnia, po świeżo przypadłym śniegu,

z tegoż domu p. B. naprzeciw banku, a więc na pryncypalnej ulicy, skradziono 6 sztuk krat żelaznych lanych, czyli przezeń w desek, służących do wmurowania między filary w ogrodzie, długich około 2½ łokci, a wysokich około 1½ łokci, każde wagi 1 cennar i około funt. 20. Stały one przy ogrodzie, wewnątrz dziedzińca za studnią, musiały być ze 6 razy, po dwóch ludzi, wynoszone za bramę i tam dopiero na furę kładzione, liście ze śniegiem z nich ogarnięto, a kraty i oparcie ich na studni, oraz ślad butów na ulicy, znać było jeszcze rano; dodać tu trzeba, że stróż miejski stoi przed bankiem przez całą noc — za to, w podwórzu, z którego skradziono, stróża niema wcale, a brama i drzwi nie są na noc zamykane, bo niema ich kto otwierać. W d. znowu 11 stycznia r. b. w domu p. S. także naprzeciwko banku, o godzinie 1½ po północy, gdy dwóch ludzi czekało przy wejściu, dwóch innych chciało otwierać do piwnicy p. O. na 2-im piętrze mieszkającego; mysz tylko obroniła piwnicę; złapaną bowiem w tej chwili w pułapkę — kobieta mieszkająca w suterrenach chciała wyrzucić, a wychodząc, spostrzegła jakichś czterech drabów i napowrót drzwi zatrzasnęła; zbudzony pies zaszczekał i złodzieje splotzeni chałasem, chwala Bogu uciekli. Tutaj stróż w domu jest — ale drzwi widocznie nie zamyka.

— Pożar. W ubiegły poniedziałek około godziny 10 wieczorem za młynem parowym wszczął się pożar, od którego zgorzała stodoła ze zbożem, własnością mieszczanina Wojciechowskiego będąca.

— Wypadek. W dniu 22 b. m. dziesięcioletni chłopak, syn woźnego z izby skarbowej, zleciawszy ze schodów z trzeciego piętra, zabił się niemal na miejscu.

— Ze sprawozdania z czynności stacyi doświadczalnej w Łodzi pomieszczonego w Nrze 11 „Dziennik Łódzkiego“ wyciągamy tu kilka danych statystycznych, które dadzą nam miarę użyteczności i konieczności zakładów tego rodzaju. Przez ciąg półtorarocznego istnienia stacyi doświadczalnej dokonano w niej, między innymi, rozbiórów chemicznych: wody studziennej, stawowej i rzecznej 36 — z tych nieczystych do picia 20; octu 4 — w tem 3 okazy liche, a między innymi jeden zaprawny kwasem starozanym; mleka 10 prób, w których 8 było rozcieńczonych, z dodatkiem sody, kredy, boraksu,

alunu; syropów i soków 10, z tych okazów fałszowanych i szkodliwych 9; kosmetyków zanalizowano 2 — z tych jeden okazał się czystym *merkuryjalnym* przetworem; z 10 gatunków zaś obić pokojowych — 3 — zawierały trujące metale, jako to: miedź, baryt i ołów.

— Z Łodzi. Staraniem p. Stanisława Kosutha, inżyniera pracującego w zakładach Szajblerów, będzie uorganizowana w Łodzi w ciągu przyszłego miesiąca wystawa wyrobów, wykonanych na warsztatach ręcznych w Łodzi i okolicznych miastach fabrycznych. Wystawa mieścić się będzie w lokalu miejscowego Towarzystwa Kredytowego.

W składzie kortów Hejmana przy ulicy Ceglanej wybuchnął dnia 13-go b. m. pożar. Dzięki energii straży ogniowej pożar stłumiono i uratowano znaczną część towarów.

— Weteran b. wojsk polskich. Dnia 15 b. m. mieszkańcy Zelowa i okolicy odprowadzili na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. Stanisława Koski Dąbrowskiego b. oficera b. wojsk polskich, zmarłego w 81 roku życia. Ś. p. D. pełen dobroci i szlachetności człowiek, zjednał sobie ogólny szacunek i szczerzy żal po sobie zostawił.

— Któraś z dam — uczestniczka zeszłorocznego balu, wychodząc, zamieniła ciepły szal, pozostawiając przypadkiem swój na sali, a zabierając prawdopodobnie cudzy. Jesteśmy, proszeni o doniesienie, że szal ów jest do odebrania u pani Grothus w domu p. Spana.

Z pod Lelowa.

Co innego pióra a co innego lewisa. — Zwycięstwo niemców. — Mięsa plaga. — Demoralizacja ludu. — Potrzeba rzemiosł i oświaty. — Jedyny ratunek.

Mówią, że pisać korespondencje do gazet — nieludno. Ja też tu, panie dobrodzieju, siedząc na wsi i czytując nawoływania wasze, zbierałem się napisać coś z pod słomianej strzechy już od lat trzech blisko, — ale nie tak łatwo, jakby się zdawało, coś skleić do druku, a w dodatku człowiek zasiedziały na wsi, ma wstręt pióra, jak do niemca; nieurodzaje zresztą, choroba łysa, kasztanka i inne, jak to wicie, kłopoty, wytrącają wieśniakowi pióro z ręki. Dział jednak otoczony ze wszelkich stron cywilizatorami z nad Sprei, zgniciony, ściśnięty jak serek pod prasą, niniejszą literacką ser-

watkę wygotować muszę, choćby mi to nawet i z trudnością przyszło. Miejskim gryzi-piórkom łatwiej coś napisać — wprawne to do pióra; — ale my, co nawet gazety rzadko prenumerujemy, to co innego. Kalendarz rok rocznie nas objaśnia o wszystkim, a wiadomości polityczne chwytają się co tydzień w parafii po nabożeństwie, od sąsiadów lub proboszcza. Taki, co gazetę prenumeruje, to lumen! uchodzi za człowieka czytanego i światłego, pomimo, że do kalendarza nie pisze. Takich też jest więcej w młodszej generacji niż między nami starymi.

W naszej okolicy Niemiec wyszedł sobie wioskę; wnet więc sprowadził kilku „brüderów“ i szwagrów i cała ta szarańcza osiadła na dzierżawach. Płacą dobrze nie tylko właścicielom ale i najemnikom, to też ci ostatni zwabieni dobrą zapłatą, handlu „szwarcówką“ jeszcze nie porzucając, tylko do Niemców na zarobek chodzą, czerpiąc od nich oświatę i zasady życia, podtrzymując przytem egzystencję i dobrobyt propinacyi — „nimca.“ Nasza brać-szlachta drapie się w głowę, narzeka i, na tem koniec. Życie takie zatrute niesprzyjającymi warunkami, zniechęca rolników do zagona i do wkładania kapitału w gospodarstwo; — przez to też Niemcy prym trzymają, wyludzając od nas ziemię.

Do tej plagi kulturkampfu łączy się i inna, błaża na pozór, niemniej przecież dotkliwa. W małych miasteczkach brak zupełnie dozoru nad rzeźnikami, którzy dorzynając kończąc swój żywot krowę, częstują mięsem kaduk wie jakim: jeśli nie nadgnilem, to wrzodowatem, a zawsze podejrzanej wartości. Po mięso posyła się zwykle w niedzielę z kwitkiem konnego; pomimo to, jeśli drób chudy lub go niema, obiadu się nie je, bo mięso rzeźnik niekiedy przyjmie z powrotem. Dozór nad rzeźnikami powierzony zwykle wójtowi lub stróżowi bezpieczeństwa publicznego, inaczej „panem wachmistrem“ zwanemu, ściśle jest wypełniany tylko w jego kuchni, w której zawsze najlepsze mięso się gotuje.

Na to już nawet i Niemiec nie poradzi. Z gazet też innych wicie zapewne, jak to u nas na porządku... noenym są kradzieże i rozboje. Ścisł i tłok na „chubach“ chłopskich zniewala wędrować za łatwym zarobkiem, bo gospodarstwa właścicieli coraz to więcej mając żołądków do nasycenia, częstokroć pozabawiają chłopów nawet suchego kawałka

NI TO — NI OWO.

XVIII.

Karnawał w tym roku dość długi; trzebaż mu poświęcić choć cząstkę niniejszego feljtonu — tem bardziej, że mieliśmy już kilka zabaw publicznych, które się nieźle udały, a kilka jeszcze mieć będziemy które się również zapewne udać. Szkoda tylko, że i tu nie jesteśmy wolni od pewnego *ale*.

Wprawdzie wszystko na świecie ma swoje *ale*; każde jednak *ale* na naszym prowincjonalnym kontynencie przybiera zwykle jakieś dziwniejsze rozmiary i zaznacza się w oryginalniejszy sposób... Można się niewiem o co złożyć, że każdy czyn, każdy, najmniejszy niemal krok naszych parafjalnych wielkości musi mieć, jak zapisał, swoją komiczną stronę. Ujawniać się to już zaczyna nawet w zabawach publicznych. Takie np. łamane sztuki, jak zapraszanie kogoś, a potem odprowadzanie z balu, zaiste, śmieszne nam się wydają, — tem więcej, że niaktak jednostki, niewiadomym istotnego stanu rzeczy, dają nieszczególne pojęcie choćby tylko o znajomości najprostszyc form towarzyskich u ogółu. Nie zaprosić mię, wolno każdemu — wcale się o to nie obrażę; ale gdybyś mię, czytelniku, zaprosił, a potem odwrócił się odemnie, sądzę, że wówczas uznałbyś słuszność mojej niechęci.

Zapuscimy jednak zasłonę niepamięci na ten nowy całkiem objaw naszego towarzyskiego życia i — na pociechę — przypomnijmy sobie to, że przynajmniej biedni naszego miasta i niezamożni uczniowie miejscowego gimnazjum, skorzystają z tych zabaw, które zamiast nas jednoczyć, sięją wzajemne zazdrości i rozszerzają zastarzałe między nami kwasy.

Oto bal drugi na ubogich miasta powiódł się świetnie, a jak słyszeliśmy, będziemy mieli jeszcze dwa inne: trzeci, na tenże sam cel, i czwarty na rzecz miejscowej kształcącej się młodzieży. Na korzyść tej ostatniej odbędzie się również dnia 11 lutego amatorski koncert, na który złożyły się mają najlepsze nasze siły muzyczne i artystyczne. Powodzenie będzie miało niewątpliwe, gdyż, o ile wiemy, wszystkie niemal loże, już zamówione zostały, a do krzeseł panuje ścisł nie mniejszy. Należało się to już oddawna naszej młodzieży; to też inicjatorowie tej myśli przynoszą jej dobrodziejstwo prawdziwe.

Wierząc nam czytelnicy, że nasze towarzyskie karnawałowe życie, mogłoby pozostawić po sobie trwałą pamięć i jak najmilsze wspomnienie... gdybyśmy się postarali pozbyć tych koteryjnych, nieustannych swarów i zawiści, których jedynym źródłem jest zawsze i zawsze tylko próżność i wygórowana ambicja, stawiająca po nad wszystko swoje *ja* — i nic, tylko *ja*. Częstokroć dlatego jedynie, że nie nasze *ja* dało czemuś inicjatywę,

już się boczymy i patrzymy na siebie przez ramię. Ztąd to wytwarza się sztuczne życie, sztuczna radość, sztuczny nawet smutek — i istnienie nie jednego z nas staje się z czasem nieznośne...

Równie nieznośną i mającą nadzwyczaj podobny wygląd do naszego życia, jest tegoroczna zima. Mrozu, jak na lekarstwo; za to ciągną i bezustanna szaruga. To też nieszczęśliwi nasi ziemianie z najwyższą trwogą patrzą w swą przyszłość; znamy takich, którzy niedawno rozpoczęli gospodarstwo w niezłych wcale warunkach, z gotowym kapitałem obrotowym, a mimo to, obecnie obracają na wszystkie strony... już tylko głową — nie pieniędzmi.

Wobec takiego położenia rzeczy, dobrze, że od czasu do czasu gromadzą się komisja *ośmiu*, wysadzona z łona zeszłorocznego zebrania okolicznych ziemian — omawia kwestyję kredytu i debatuje nad środkami samopomocy. O ile wiemy, prace jej mają się już ku końcowi; z nieklamaną też niecierpliwością oczekujemy ich owocu, dufając, że będzie dojrzałym, czego gwarancję widzimy w samym jej składzie.

Daj Boże tylko, aby dobre chęci obywateli ziemian miały lepsze powodzenie od dobrych chęci obywateli naszego miasta. Mamy tu na myśli projektowane w niem od tak dawna instytucje: dobroczynności, pomocy naukowej i kasy zaliczkowo-wkładowej. Staranie o takowe należałoby naszym zdaniem ponowić:

chleba. Barszcz i kartofle raz zaledwie na dzień spożyte, żywią całe rodziny; jeśli więc „tatusz nie pójdą“ po owcę do Wojtka albo po krowę do Bartka, to często i w garncezek niema co włożyć. Co dzień też można spać się z takimi, co to nie sieją, nie orzą a żywią się... A jeden drugiego wydać się nie ośmieli, bo wie, żeby go oskarżony podpalil; w gromadzie cicho, a w gazetach bebnia ciągle o nowych kradzieżach i rabunkach. Trudno jednak i tak coś odkryć, bo najczęściej poszkodowany nie przygotowuje sobie dwóch świadków. Nauka jedynie rzemiosł usunąby mogła do pewnego stopnia ujemne te strony, trzeba tylko, żeby była chęć do pracy, do uczciwego zarobku a tę znów, tylko szkoła, nauka zasad moralności i poszanowania cudzego mienia wyrobić jest w stanie. Ale jeśli w gminie otwiera szkołę, to chłop dziecko do niej i tak nierad posyła, z braku pomocy w gospodarstwie, lub, co się przytrafia częściej, z powodu kilkowieśowej odległości wsi od przybytku oświaty. *Obowiązkowe* więc tylko posyłanie do szkoły ostatecznie by wyrugowało ujemne cechy naszego wieśniaka.

Przy powyższych warunkach i braku kapitału utrzymanie w pewnym stopniu doskonałości gospodarstwa wiejskiego jest niemożliwym i to tłumaczy poczęści oddawanie przez obywateli ziemi w ręce cudze. Związanie wspóltek, działanie i opieranie się zgubnym prądem, *viribus unitis*, może jeszcze podtrzymać byt obywatela, ale przy braku tego, jak również przy braku prawdziwej oświaty wśród gminu, pisanina wszelaka próżną tylko pracą zawsze będzie.

L. Gn...

SZKOŁY PIOTRKOWSKIE.

(Ciąg dalszy—patrz № 3).

III.

Losy budowli przez pijarów i jezuitów w Piotrkowie wzniesionych.

Kamienica przy ulicy *Klasztornej* (później Nowy-Świat, obecnie Jekateryńska) przez Stanisława Bykowskiego, na mocy aktu w sądzie grodzkim Zakroczymskim, w 1674 r., sporządzonego, pijarom ofiarowana, była miejscem pierwotnego ich zamieszkania w Piotrkowie. W tej to kamienicy, obok mie-

szkania pijarów (w liczbie pięciu), mieszcila się pierwsza ich szkoła i kaplica. Pierwszy rektor, a następnie od r. 1684 prowincyał pijarów, ks. Franciszek, a Jesu Maria, *Haligowski*, w dniu uroczystego wprowadzenia pijarów do Piotrkowa, na przyległym kamienicy „Bykowskich” placu, w miejscu na kościół obranem, krzyż utkwil. Dla braku jednak odpowiednich funduszków budowa kościoła rozpoczęta została dopiero w r. 1689 przez ks. rektora *Benedykta Zawadzkiego*, a ukończona w r. 1718 za rektorstwa ks. *Stanisława a Ś. Barbara*. (*)

Ks. *Ignacy Krzyżkiewicz* rektor w r. 1680 dla rozszerzenia szczupłego kolegium nabył kilka sąsiednich domków i placów. Funduszków na ten cel, oprócz pozostałości z zapisu *Gorezyńskiego*, dostarczyli liczni dobrodzieje, przeważnie deputaci trybunalsey.

Na kościół zaś znaczniejsze sumy złożyli: ks. *Mikołaj Święcioki*, biskup Poznański 6666 złp., *Stanisław Potocki*, Starosta Halicki, w 1699 r. Marszałek Trybunału, 6,600 złp., *Jan Meciński*, starosta Wieluński, ks. *Bernard Zamski*, opat Sulejowski, *Mikołaj Bykowski*, kasztelan Podlaski, po 2,200 złp. Nadto, wedle możności składali ofiary: klasztory *Bernardyński*, *Witowski*, *Panien Dominikanek*, obywatele *Piotrkowscy*, szlachta i wieśniacy z okolicy.

Dostawiając i dokupując sąsiednie domostwa, pijarzy stali się właścicielami prawie całej dzielnicy miasta, zamkniętej między ulicami *Sieradzka*, *Dominikańska*, *Rwańska* i *Nowym-Swiatem*. W tym obrębie mieściły się ich kolegium, kościół, szkoły i domy do wynajęcia. Kamienica „Bykowskich” z czasem przeznaczoną została wyłącznie na pomieszczenie szkoły, a właściwe kolegium zwolna uformowało się z różnych domostw przy ulicy *Rwańskiej* (*Luterańska*).

Pożar d. 1-go sierpnia 1731 r., zrządzając wielkie szkody w posiadłościach pijarskich, dom „Bykowskich” w gruzy zamienił. Dzięki staraniom ówczesnego rektora ks. *Jana Zawistowskiego*, w tymże jeszcze roku powstał nowy dom szkolny, równie jak pierwszy murowany, wprost furty pp. *Dominikanek*. „Był to dom o dwóch piętrach, tak na górze, jak na dole, znajdowało się po trzy klasy; w klasach były wy-

(*) Rektora wielu kolegiów, wyborowego gospodarza. Za jego staraniem stanął kościół i kolegium w Wieluniu.

godne ławki po większej części z szufladami. Każda klasa miała tablicę do matematyki i katedrę drewnianą dla nauczyciela; na ścianach wisiały karty geograficzne.”

Za rządów najslawniejszego z rektorów piotrkowskich, ks. *Cypryana Małachowskiego*, powstał pierwszy konwikt pijarski, który się mieścił w zbudowanej w 1738 r. oficynie, (obok kościoła), znanej pod nazwą *nowego kolegium*. Oficyna ta w 1807 r. zamieniona na magazyn, z czasem zupełnie spustoszała i obecnie nie istnieje.

Po trzykroć (1748—1762—1766) piastujący godność rektora ks. *Fulgenty Józef Gutteler Dobrodziejski* „z największą usilnością zajmował się gospodarstwem, ozdoba kościoła i porządkami kolegium, które składając się z dostawianych, przerabianych, lub naprawianych przez każdego rektora domów, wcale nie miało przyjemnej postaci.” Tenże *Dobrodziejski*, w 1765 r. zakłada fundamenta pod nową okazałą budowlę, którą dopiero ks. rektor *Zygmunt Rojen* (1780—1786) wykończył. W znacznie zmienionej postaci budowla ta zachowała się po dzień dzisiejszy. Od lat 90-ciu mieści się w niej—więzienie. Ks. *Zygmunt Rojen* nadto wystawił zabudowania folwarczne na *Bykowskim* i *Rokazyckim* przedmieściach i domy mieszkalne upiększył.

8-go września 1786 r. nowy pożar, rujnując 180 domów miejskich, zniszczył do szczytu dom szkolny i znaczne szkody wyrządził w innych budowlach pijarskich. *Kłęska* ta, jak zobaczymy niżej, stała się główną pobudką do wyniesienia się pijarów z posiadłości przeszło 100 lat przez nich zajmowanej.

Dom przy ulicy *Łaziennej* (*Gimnazjalna*), przez jezuitów przed 1667 r. nabyty, był miejscem pierwszego ich osiedlenia się w Piotrkowie. Rezydencyja piotrkowska składała się z 5-ciu członków zgromadzenia pod przewodnictwem ks. *Michała Mazowieckiego*. Szczupła w początku posiadłość jezuitów szybko wzrastać poczęła, a gdy—„miasto z kamienic i placów przez jezuitów trzymanych, upomniało się o podatki publiczne i sprzeciwiało się im rozprzestrzenianiu kolegium, zawarto układ 1692 r. mocą którego miasto wzięło 6000 złp. (przez *Samuela Nadolskiego*, kasztelana rawskiego, 1665 r. na dobrach *Łasku*, na rzecz jezuitów zabezpieczone) za łaźnię miejską i przejęło na

nie się samo nie robi—pieczone gołąbki nie przyjdą do gąbki. Dać inicjatywę—przyznajcie sami—to nie dosyć. Trzeba jeszcze ofiary i poświęcenia czasu, zdrowia i kieszeni. Każda bezwarunkowo sprawa potrzebuje zajęcia się nią bezustannego i bezustannych czyichś starań. Nie dosć jest starać się *tu*—jeśli nie *tu* ostatecznie sprawa się decyduje. Sądźmy, że na poparcie miejscowej władzy należy liczyć bezwzględnie—niemniej trzeba z nią współdziałać...

A wiecie, moi państwo, jaki byłby najpierwszy, a kto wie—kto wie, czy nie najważniejszy rezultat podobnych, czysto lokalnych instytucyj?—Oto ten, że mając się czemś zająć, przestalibyśmy może zajmować się plotkami i kopaniem pod sobą dołków. Wada ta wreszcie, jeśli by nie całkiem znikła z naszego bruku, to na pewno można twierdzić, że znacznie by się zmniejszyła.

Pomyślcież o tem ojcowie miasta. Prośbę tę zanosimy do was w imieniu wszystkich tych, co dotąd, okrom szarpania sławy bliźniego, nie innego do czynienia nie mają.

M. D.

DO SZKOŁY!

I.

Chaimek i Bronia byli sierotami. On nie miał matki, jej rodzice dawno pomarli. Jego wychowaniem zajmował się ojciec, a bardziej stara *Fajga*, mieszkająca wraz z innymi na poddaszu; ją stary *Marcin* kochał całą duszą, dla niej jedynie wrócił po długiej tułaczce, by pracując w charakterze stróża małego domu, nie oddać na poniewierkę córki jedynego swego dziecięcia.

Chaimek i Bronia kochali się bardzo; on miał lat dziewięć, ona za dwa tygodnie dześięć kończyła. Jakże nie było kochać tej ślicznej Broni, kiedy tak ładne rzeczy opowiadać umiała; na usteczkach jej różowych zawsze drżała piosenka, a błękitne oczęta umiały tak miłuchno patrzeć! Bronia i z książki czytać potrafi; co dzień po południu dzieci siadały sobie za studnią w rogu podwórka, a Bronia—albo czyta, albo opowiada słyszaną od dziadka historję, albo śpiewa, a wtedy Chaimek także jej pomaga.

E, ale to nie jeszcze. Dopiero w niedzielę, jak Bronia włoży niebieską sukienkę, a we włosy kwiatek wepnie i zawoła Chaimek, toż się dopiero święto zaczyna! Zbiegają na dół, do suterenu, gdzie siedzi nad książką stary *Marcin*, gładzi długie, siwe wąsy, a na piersi jego widać dużo różnokolo-

wych medali. Gdy dzieci zobaczy, zamknie książkę, weźmie Bronię na kolana, Chaimekowi każe usiąść przy sobie i... dalejże opowiadać takie cudne rzeczy, że Chaimek zapomina nawet, iż Bronia przy nim siedzi, że obiad już niezadługo, zapomina o wszystkim, a widzi siebie wśród dużego wojska, co *Turków* bije pod cesarską stolicą; to wypędza *Niemców* z kraju i jedzie już przy *Chrobrym królu*, to znów innemu królowi pomaga złączyć aż dwa narody. Plakał, śmiał się, ginał, to znów waleczył, wreszcie śpiewał razem z *Marcinem* i *Bronią*, a w końcu całował rękę starego wiarusa. Stary z radością widział, że słowa jego na żywną glebę padają i wszelkich dokładał starań, aby zapał małego podsyć. Po opowiadaniu, jeśli Chaimekowi do obiadu zostawało trochę czasu, ctwierał szuflady pełne obrazków i pokazywał je dzieciom, ilustrując niemi powieści swoje. Dzieciaki pożerały je wzrokiem, a Chaimekowi często się zdało, że tu wszystko żyje, że słyszy śpiew rycerstwa i zgiewki kłuty i obrady mężów sędziwych.

Właśnie w tej chwili wyjął pan *Marcin* większy trochę obrazek i pokazywał dzieciom króla, co podniesionym krzyżem łączył ze sobą dwa ludy. Chaimek wlepił w twarz jego swe duże oczy, chciał z niej wyczytać wszystkie myśli, wpatrywał się weń całą duszą i... o dziwo! zdało mu się, że usta się poruszają, że król coś mówi do niego... słuchał...

siebie ciężary publiczne; nadto, jezuici ustąpili miastu sumę 700 złp. (przez *Stanisława Pągowskiego*, 1661 r. na kamienicy „Gramczewskiej” w Piotrkowie na rzecz kolegium rawskiego zapisaną) za prawo swobodnego skupowania domów i placów pustych, przyległych swojemu kolegium.”—Wkrótce po otwarciu szkół jezuickich, a mianowicie w 1707 roku, powstał wspaniały ich kościół. Przyłożył się niemało do jego fundacji ks. Baltazar *Wilczycki* proboszcz piotrkowski, prałat gnieźnieński, ofiarując sumę 40,000 złp. Wspomniany wyżej pożar 1731 roku, zniszczył wszystkie jezuickie budowle. Na gruzach dawniejszego kościoła, głównie staraniem prymasa Teodora *Potockiego*, stanął nowy, który po dziś dzień świadczy o wytwornym estetycznym smaku jego budowniczych.—Na miejscu zaś kilku odrębnych budowli mieszkalnych, wzniesiono jeden gmach piętrowy, który ulegając rozmaitym przemianom, w połowie przetrwał do obecnej chwili pod nazwą *starego kolegium*, (obecnie oficyna frontowa na dziedzińcu gimnazjalnym). W gmachu tym mieściły się szkoły i mieszkania jezuitów. Ze wzrostem liczby uczniów i samych jezuitów stare kolegium nie mogło odpowiadać potrzebom zgromadzenia, w skutek czego zaprojektowano i w 1753 roku rozpoczęto nową okazałą budowlę, znaną pod nazwą *nowego kolegium* (obecnie gimnazjum męskie). A ponieważ plac przyległy staremu kolegium okazał się zaszczerpym na pomieszczenie projektowanej budowli, przeto jezuici wyjednali u miasta pozwolenie wysunięcia nowego kolegium na 12 łokci po za obręb murów miejskich, przyrzekając w zamian utrzymywać swoim kosztem sąsiednie bramy krakowską i wulborską.

Nie wiadome są wszystkie nakłady na wystawienie nowego kolegium; to tylko pewna, że Jan *Branicki*, kasztelan Krakowski i w. hetman koronny, przeznaczył na ten cel 20,000 złp., a Maryjanna z Dzieduszyckich *Zamojska*, koniuszyna koronna, 60,000 złp.

Budowa nowego kolegium postępowała wolno; jezuici do końca pobytu swojego w Piotrkowie zdolali wykończyć tylko mury główne i ostatecznie urządzić sutereny i parterowe piętro; obadwa piętra wyższe wykończyli już następcy jezuitów. Za czasów jezuickich szkoły ich mieściły się stale w kolegium starem; gmach nowy przeznaczony

był na mieszkanie. W razie powiększenia się liczby uczniów jezuici wydzierżawiali na pomieszczenie klas sąsiednią kamienicę „Matyskiewiczów,” a konwikt ich mieścił się w kamienicy „Tobiaszewskiej” (obecnie na jej miejscu dom Endera).

(d. c. n.).

ROZMAITOŚCI.

— Nowy objaw germanizacji. Pan Zakrzewski w Poznaniu, założyciel folwarku, chciał nazwać go *Zakrzew*; gdy jednak zwrócił się z podaniem do władz o zatwierdzenie tej nazwy, otrzymał odmowną odpowiedź, ponieważ nowe osady mogą nosić tylko niemieckie miano. P. Zakrzewski odwołał się do władz wyższych, a jednocześnie, na wypadek, gdyby skarga jego nie została uwzględniona, zaproponował nazwę folwarku *Grunwald* lub *Hundsfeld*, pozostawiając regencyi wybór—według życzenia.

— Ministrowie hiszpańscy na scenie. Niema na świecie swobodniejszej sceny nad hiszpańską.

W Hiszpanji niema weale cenzury teatralnej, którą zastępuje odpowiedzialność dyrektorów teatralnych. Nadzwyczajnego jednak trzeba nadużycia swobody, ażeby dyrektora pociągano do odpowiedzialności. Jako przykład tej swobody może dosadnie posłużyć gra w Madrycie na początku bieżącego miesiąca komedya p. t. „*Rokiem dawniej*,” w której wychodzą na scenę naturalnie skarykaturowani wszyscy ministrowie hiszpańscy. Autor każdemu z nich włożył do ust jakieś głupstwo, które wypowiedział bądź w parlamencie, bądź w radzie ministeryjalnej w ciągu roku zeszłego. Na przedstawieniu wspomnianej komedii był król i wszyscy przedstawieni na scenie ministrowie, którzy śmiało się do rozpuku, nie myśląc bynajmniej się obrażać, a przynajmniej udając dobrze, że się nie obrażają.

— Nadzwyczaj wstrząsające doświadczenie magnetyczne, wykonan niedawno w Reims magnetyzer Torrey. Od jakiegoś czasu bawi w tem mieście pogromca lwów, Planet, który codziennie do swej menażeryi ściga tysiączne tłumy. Korzystając z tego magnetyzer Torrey ogłosił, że zobowiązuje się napić swe melium w klatce z lwami i robić z niem różne doświadczenia. Otrzymawszy pozwolenie mera, urządził przedstawienie to niedawno temu w największej sali w Reims. Na środku sali stała wielka pusta klatka, w niej na dywanie krzesło i taburek. Obok znajdowało się kilka klatek z lwami. O naznaczonej godzinie wszedł do natłoczonej sali pogromca Planet. Otworzywszy główne drzwi klatek wpuścił wszystkie lwy do głównej pustej dotychczas klatki, pozem małemi bocznymi drzwiczkami wszedł sam do takowej. Szpiernia i potężnym swym głosem zmusił lwy do cofnięcia się w przeciwny kąt klatki.

Teraz wszedł przez te same małe drzwiczki Torrey i jego melium, młoda prześliczna panna Lucyja, którą Torrey niebawem zamagnetyzował i pogrążył w sen magnetyczny. Dziewczę uleгло na środku klatki z obnażeniami ramionami, nieruchome jak posąg. Pogromca zaczął drażnić lwy, które rzuciły się ku zamagnetyzowanej, krząc około niej w dziękich skokach, lecz nie dotykając jej zupełnie. Zamagnetyzo-

wana trwała w nieruchomej postawie, bez najmniejszego pojęcia o tem, co się około niej dzieje. Następnie Planet i Torrey ułożyli sztywną zupełnie dziewczynę na dwa krzesła tak, że tylko głowa i nogi podparte były na nich. Lwy przeskalowały szybko przez nią, nie śmiając jej jednak dotknąć. Torrey przywoływał kolejno lwy do siebie i kładł im w otwartą paszczę naprzemian to głowę, to obnażone ramię uśpionej, lecz żaden lew nie śmiał jej dotknąć zębami, jak gdyby to było martwe ciało. Jeden lew skoczył przytem na zamagnetyzowaną; lecz ciało jej najlżejszem zgwieźdem lub drgnieniem, nie zdradzało, że krąży w niem jeszcze życie.

Widzowie patrzyli na to, co się działo, tamując oddech w piersiach.

Po skończonem doświadczeniu, Planet zapędził znów lwy do kąta, pozem Torrey rozbudził melium. Dziewczyna natychmiast zerwała się żywo i wesola, uśmiechnięta opuściła z magnetyzerem klatkę.

— Uprzejmość powag lekarskich. Pomiędzy lekarzami, w Niemczech, znajduje się wielu, którzy obok wielkiej nauki, odznaczają się bezwzględnością, graniczącą z grubiaństwem.

I tak: sławny lekarz w Wiedniu, profesor H., odbywszy konsultacyję z nieuleczalnym pacjentem, zwykł mawiać bez ogródek: „zamów pan sobie trumnę”.

Pewien lekarz monachijski jest już nieco oględniejszy, bo się zwykł wyrażać: „Idź się pan lepiej porozumieć ze stolarem, a nie z lekarzem”.

O doktorze F. w Berlinie opowiadają, że po kwadrans trwającej konsultacyi, kiedy go zapytał zabrużony pacjent: „No i cóż mi jest właściwie?”—odpowiedział mu z najzimniejszą krwią: — To dopiero sekcya wykaże—i odwoleł się od chorego.

— Gdzie są powstańcy?! Korespondent dziennika „*Pester Lloyd*” z Mostaru opisuje zabawne *qui pro quo*, jakie miało miejsce w tych czasach w Hercegowinie. W jednym z centralnych biur administracyi wojskowej zaszła potrzeba powiększenia personelu kilku podoficerami, umiejętnymi kaligraficznie pisać. W tym celu wyprawiono do wszystkich komend wojskowych większych i mniejszych wezwania, by do wzmiankowanego biura nadesłały próbki pisma kandydatów, pragnących zająć wakujące posady. Wezwanie powyższe doszło i do nłobego porucznika, dowodzącego małym oddziałem, stojącym na straży w górach, w dzikiej lesistej okolicy. Kaligraf, umiającego jako tako po niemiecku pisać, znalazł on i kazał mu się swoją sztuką popisywać: „Co mi pan porucznik pisać każe?” pyta kandydat. — „Pisz, co chcesz”. — „Bez rozkazu nie potrafię”. — „Pisz zatem, co ci podyktuje, pierwszy lepszy raport”. — Podoficer wykaligrafował na rozkaz kilka następujących wierszy: „Mam zaszczyt donieść, że dzisiejszej nocy zostałem napadnięty przez powstańców. Mój oddział jest za słaby, bym mógł długo opór stawiać; upraszam o pomoc”. — „Ta próba kaligrafii, napisana na zwykłym raportowym blankiecie, wyprawioną została zwykłą hierarchiczną drogą do centralnego biura. Major, stojący na czele takowego, wyczytawszy dziwny ów raport, i wiedząc, iż położenie oddziałów armii nad granicą czarnogórską jest bardzo niepewne, poczytywał sobie za obowiązek przesłać odebraną wiadomość telegraficznie dowodzącemu brygadą. Ten, niewiele myśląc, podał natychmiast w pomoc zagrożonej pozycyi, na czele dwóch batalionów piechoty, bateryi artyleryi i oddziału sanitarnego. Przez całą noc, wśród wichru i śniegu maszerowali biedacy, spryając się jaknajciszej, by powstańców zaskoczyć

— Chaimek, kim siojm, Tate gajt!—zawołano z góry i przez okienko wsunęła się pomarszczona żółta twarz starej Fajgi.

Przez chwilę nie zrozumiał Chaimek co mają słowa te znaczyć, nareszcie, jak okniony, zawołał:

— Przyjdę zaraz.

Żółta twarz znikła, do pokoju znów wpadł słup światła słonecznego, a Chaimkowi trudno było rozstać się z obrazkiem. Stary Marcin pocałował go w głowę

— No idź chłopcze do domu!... idź...

— Ależ to takie ładne, to takie słiczne... powtarzał, nie mogąc oczu oderwać.

— No, kiedy ci się tak podoba, to sobie schowaj na pamiętkę....

Chłopiec, przypadł do ręki starego i zaczął ją całusami okrywać...

— A baw się ciągle z Bronią i przychodź do mnie, to się coraz innych rzeczy dowiesz... nauczysz...

— Ale wiesz Chaimku—wtrąciła Bronia—jutro przed obiadem nie będziemy się bawić weale...

Malec spojrział pytającym wzrokiem.

— Bo widzisz—ciągnęła—ja do szkoły jutro pójde... Dziadek mnie zaprowadzi.

— A co ty będziesz w szkole robiła?... zostan lepiej w domu.

Zasmiała się.

— A, to ty nie wiesz, co w szkole robisz? Uczą różnych rzeczy. Dziadek powiaże będą dużo czytać, rachować, będą

umiała te wszystkie rzeczy, co on opowiada...

— Ee?—rzekł niedowierzania tonem.—To nie może być.

— Bronia prawdę mówi—dodał stary,—w szkolewszystkiego dzieci mogą się nauczyć, ale do szkoły tylko grzeczne dzieci mogą chodzić. No, ale idź Chaimku; potem o tem; idź, idź mały. Schowaj obrazek i spiesz się.

Chłopak raz jeszcze ucałował starego, uściskał Bronię i znikł za drzwiami.

II

Rady jego jednak nie posłuchał. Nie spieszył się weale. Powoli wchodził na podwórko, a jeszcze wolniej wspiął się po wschodach na poddasze wiodących. Myślał pracować—rozwiązywał ważne zagadnienie. Rzecz przedstawiała się dość jasno. Skoro w szkole nauczyć się można tylu pięknych rzeczy, to i on w sobie chęć do szkoły uczuwał. Pan Marcin powiada, że tam tylko grzeczne dzieci chodzić mogą, ale i on grzeczny... Niech stara Fajga sama powie, że ilekroć w piątek dawała mu miedzierz, aby utłukł migdałów trochę do sobotniej laguminy, to ją zawsze słuchał i tłukł tak mocno, że aż rączki bolały, a raz to się nawet skaleczył i teraz jeszcze ma znak. Codzień także czytał trochę przy niej... rozumie się nie po polsku, bo on po

polsku bardzo mało umie, a Fajga mu mówiła, że ona nie umie weale; ale po hebrajsku czytał pilnie, choć nie rozumiał i choć go Bronia często wśród lekcyi na dół wołała. A i to jeszcze, że gdy rano wstanie, to zawsze z Fajgą mówi „Mody any” tak ładnie, że aż się ona z tego cieszy, a po eichutku pomodli się jeszcze inaczej, tak jak go nauczyła Bronia, i tylko jedno zmieni, bo nie o *pouszedni*, ale o *świeży chleb* Pana Boga prosi, dlatego, że czerstwego nie lubi.

Taki ze sobą prowadząc rachunek sumienia, postanowił prosić ojca, aby i jego do szkoły zaprowadził. Z tym zamiarem wszedł do mieszkania, gdzie go zastał siedzącego już za stołem.

Pan Szmul Kamyk rodziciel Chaimka, mekler i faktor z powołania, był człowiekiem najzwyczajszym i nad wyraz słabym. Gdy poczuł już brzemię czwarłego krzyżka, spotkało go szczęście wielkie; wyswatanono za niego córkę bogatego kupca z prowincyi.

Dziewczynka była piękna, młoda, mądra, posiadała posażek niezgorszy, mogła więc była stokroć lepiej wyjść za mąż jak za biednego meklera, nie mającego nic za sobą prócz bojaźliwych rachów i miękiego jak wosk serca. Ale niepróżno przebakiwano po całym miasteczku o pewnym przystojnym obywatelu z sąsiedztwa; była śnać częstka prawdy w tych głosnych szepciach, bo dziew-

zniennacka. Nad ranem zbliżyli się wreszcie do obszczonej według raportu miejscowości. Panująca cisza grobowa przeraziła ich. Czyżby wszystkich wyróżniło, zanim pomoc nadeszła? Tymczasem poręcznik, mimo wolny sprawca nieporozumienia, siedział spokojnie na kwaterze i zapijał kawę. Naraz zawiadomiono go o zbliżaniu się większego oddziału. Zerwał się, przyjął pałasz i wybiegł na spotkanie przełożonego. — „Gdzie są powstańcy?” — pyta generał. — „Jacy powstańcy, proszę uniżenie, panie generale?” — „Ci, którzy pana oblegali, jak o tem w swoim raporcie donosili?” — „W moim raporcie?” — Biedny poręcznik nieprędko domyślił się, iż to wysłana przez niego próba kaligraficzna w ten sposób zrozumiana została. Czy mu ta pomyłka płazem uszła, i czy mu generał przebaczył nadaremna nocną wycieczkę, o tem korespondent dziennika nie wspomina.

— Niemcy w Londynie. W klubie konserwatywnym w Berlinie miał w ostatnich dniach dr. Peters z Londynu prelekcję o Niemcach w Londynie. Prelegent stwierdził najsmprzód — jak „D. Tagel” donosi — smutny fakt, że „Niemiec z Hindusem najmniej mają poczucia własnej narodowości”. Londyn posiada kolorię niemiecką, 100 — 150 tysięcy dusz wynosząca, złożona z uczonych, literatów, kupców, artystów, piekarzy, krawców, golarzy i kelnerów. Napływ Niemców do Londynu jest tak wielki, że kwestyja niemiecka tam jest tak ważna, jak u nas żydowska. Niemiec emigruje z ojezyzny w celach zubożenia się pieniężnie, a nie posiadając wielkiego poczucia narodowości własnej, zlewa się wkrótce z narodowością angielską. Ostatecznie staje się tak zwanym „niem-cożerem” i najfanatyczniejszym Anglikiem, często do śmiechności. Prelegent wyraził nadzieję, iż rzezy pójda innym trybem, skoro cesarstwo niemieckie rozwinię silną politykę kolonialną. W toku dalszej, ożywionej dyskusyi, skonstatował dr. Blasius z własnego doświadczenia, że ten sam stosunek i te same fakta istnieją także i we Włoszech; sądzi więc, że polityka kolonialna korzystna być może dla handlu, ale nie dla poczucia narodowości u emigrantów. Niemiec jest żywym srebrem — mówi on — które się amalgamuje z wszystkimi obcymi narodowościami. Charakter Niemców jest wprost przeciwieństwem konserwatywnego semityzmu.

Zajmującym jest ten sąd Niemców o Niemcach; my zaś, na pociechę własną, dodać możemy, że i nasza narodowość posiadała już od wieków i posiada tę wielką siłę chemiczną, która krocie Niemców zamalgamowała!..

— Uspokojenie bałwanów morskich z pomocą oleju. Znany jeszcze przez starożytnych środek uśmierzenia na pewien czas wzburzonych bałwanów, przez rozlanie na ich powierzchnię pewnej ilości oleju, został obecnie zastosowany w Anglii z tak nadzwyczajnem powodzeniem, że towarzystwa żeglugi transatlantycznej, zastanawiają się obecnie nad kwestyją, czyby nie wypadało wszystkie wyprawione na ocean parowce zaopatrzyć w zapas oleju i w aparaty rozlewające takowy po morzu, by w razie burzy, otoczył chociaż na pewien czas okręt spokojniejszą warstwą wody i utworzył rodzaj portu wśród rozszalałego żywiołu. Port Folkestone w Anglii jest niedostatecznie zasłonięty i każde silniejsze wzburzenie bałwanów morskich w nim się odczuwać daje. Tam też użyniono w tych czasach najeckawsze doświadczenia z olejem jako środkiem uśmierzenia wzburzonej powierzchni wód.

Postanowiono z trzech różnych miejsc pompować olej za pośrednictwem sieci z ołowianych pływających rur; by jednak móżd krańcowych punktów portu osiągnąć, trzeba było wyprawić z pompą i zapasami oleju czółno. Morze było tak wzburzone, iż lekano się narazić życie majtków, gdy sternik mający kierować wyprawą, wypadł na myśl użyć także oleju, dla torowania sobie drogi. Zaledwie wyłał kilka kubłów tegoż przed siebie, gdy szeroki pas wody uspokoił się, czółno przesunęło się jak po gładkiej zwierciadlanej powierzchni, pomiędzy dwiema ścianami wzburzonych bałwanów, i dopłynęło szczęśliwie do zamierzonego celu. Wówczas zaczęto pompować olej jednocześnie z trzech stron, i niebawem w całym porcie zapanowała cisza, jak gdyby na jakim stawie, podczas gdy po za granicami powierzchni, pokrytej tłustą warstwą, szalała burza. Działanie oleju było skuteczne przez całą godzinę, a kosztą tego sztucznego uspokojenia wyniosły zaledwie dwa funty szterlingi. Postanowiono zatem system ten zaprowadzić w porcie Folkestone na stałe, i rozpoczęto już odpowiednie przygotowania.

Wolne Żarty

od Ex-Bociana.

Do mojej gospdyni Katarzyny.

(w trzydziesto letnią rocznicę jej służby.)

Trzydzieści lat minęło Katarzyno droga,
Jak mi gospodarzusz z łaski Pana Boga;
Przeżyłaś na tym świecie kopę wiośen z górą,
Z największą więc ochotą, biorę w rękę pióro,
Aby ci w Jąbilusz szumny wiersz wypalić,
Szczerze ci podziękować i słusznie pochwalić.—
Przy twojej staranności, pracy i ochocie,
Wychowałaś mi prosiat i gadziny krocie,
Kaczek, kur i kogutów, indyk i indorów,
Kapłonów i perlinek—gesi i gęsiorów;
Co przyszło przez lat tyle na moje podwórze,
Pewnoby nie wypisał na wołowej skórze.—
Gdyby razem to wszystko jednocześnie wrzasło,
Ziemia by się zatrząsa—słońce by zagasło.
Com zjadł z moją rodziną i gośćmi mojemu,
Wszystko było stworzone, staraniami twemi.
Sery—masło—gomółki ułożone masą,
Pewnoby utworzyły górę Chimboraso;
Z jaj, coś je dostawiła na różne potrawy,
Mógłbym szose z Mzurowa sypać do Warszawy.
Pracowałaś uczciwie przez zimę i lato,
A ja człowiek niewdzięczny—cóżem ci dał za to?
Co dzień, trochę z cykoryjja pomieszanej kawki,
Jakby na śmiech żołądka, jakby dla zabawki,
I te kilka słów dzisiaj bardzo nudnej treści,
Za wierność i trud ciężki, lat przeszło trzydzieści.
Tak, moja Katarzyno, na świecie się dzieje.
Tacy to ludzie dobrzy—tacy, Dobrodzieje!
Czy pracujesz uczciwie ręką czyli głową,
Rzekną ci ku starości szumnych pochwał słowo,
Przed śmiercią trybularzem pod nos ci podkadzą,
A przez życie cykoryjje za napój podadzą.

Ponieważ doszło do wiadomości mojej, że ludzie złej woli rozsiewają fałszywe wieści, **jakoby agentura ubezpieczenia** z powodu choroby mojej została zwinięta, ogłaszam przeto niniejszem, że czynności dotyczące się ubezpieczenia w tejże agenturze, **przerwane nie były, i nadal z całą akuratnością będą załatwiane.**

Agent Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń
Ksawery Szwejczer.

Licytacje w obrębie gubernii.

— W d. 26 mar. (7 kwiet.) w Sądzie zjazd. w Częstochowie na sprzedaż nieruchomości tamże przy Nowym Rynku pod № 174 od sumy 26000 rs.

— 20 mar. (1 kwiet.) tamże na sprzedaż nieruchomości w os. Krzepicach pod № 15 polic. od sumy 2500 rs.

— Tegoż dnia, tamże, na sprzedaż nieruchomości w Zawierciu p-cie Będzińskim, od sumy 400 rs.

— Tegoż dnia tamże, na sprzedaż nieruchomości w m. Częstochowie przy ul. Panny Maryi pod № 29 od 4000 rs.

— 23 stycz. (4 lut.) w Kancel. leśnictwa Pajęczno na sprzedaż 18 partyj drzewa od 54 rs. do 541 rs. i 26 (7) lut. w Kancel. leśnictwa Olkusz na sprzedaż 25 partyj drzewa od rs. 413 do 6977.

— 18 (30) stycz. na komorze Niezdara na sprzedaż skonfiskowanego spirytusu za sumę 669 rs. 5 kop.

— 1 (13) lut. w Kancel. Zachodn. okr. górniczego w Dąbrowie na dostawę węgla kamiennego dla zakładów górniczych tegoż okręgu węgla lat 1884, 1885 i 1886.

— 31 stycz. (12 lut.) w magistr. m. Zgierz na budowę jednego i reparaacją dwóch mostów od sumy 681 rs. 20 $\frac{1}{2}$ kop.

Cena Tygodnia w miejscu wynosi:

rocznie . . .	rs. 3 kop. —
półrocznie . . .	1 " 50,
kwartalnie . . .	— " 75.

Za odnośnienie do domu dopłaca się kop. 10 kwartalnie.

Na prowincyi prenumerata wynosi z kosztami przesyłki pocztą, opasek i ekspedycyi:

za kwartał	rs. 1 k. 10,
„ pół roku	„ 2 „ 20,
„ rok	„ 4 „ 40.

czyne starano się jak najprędzej wydać z domu za pierwszego z brzegu. Tym pierwszym szczęśliwym, był pan Szmul Kamyk. Mówimy „szczęśliwym”, bo był nim rzeczywiście przez ciąg krótkiego pożycia z żoną. Mówiono i jemu o owej miłości Racheli; dobrzy przyjaciele długo i szeroko rozpowiadali o wszystkim, co tyczyło się jej niedawnej przeszłości; ale pan Szmul nie dawał się zasmucać; że żona jego nieszczęśliwa, biedna, a obowiązkiem męża pocieszyć, słowem i czynem koić cierpienie.

Niestety, wszystkie starania spełzły na niczem; młoda kobieta wiedła, nikła i w rok niespełna po ślubie, wydawszy na świat dziecko, wydała i ostatnie tchnienie. Na kilka godzin przed śmiercią długo ze Szmulem mówiła, a każde jej słowo Szmul mógłby dziś jeszcze powtórzyć. Nacisk kładła na jedno—na to mianowicie, aby dziecko lat młodych swobodnie użyć mogło, nie było zgnębione pracą jakąkolwiek. Mąż przyjął, że życzenie jej spełni i słowa dotrzymał.

Próżno stara Fajga przypominała panu, że już czas dziecko posłać do szkoły, poznać go z wiarą ojców i choć powoli przyzwyczajać do przyszłego zawodu cadyka lub rabina. Oh, jakżeby ona chciała, by jej wychowanek, jej Chaimek drogi, mógł zostać cudotwórcą. Ona się codzień o to do Boga modliła. Ale cóż... pan Szmul się uparł, powiada, że chłopiec ma czas jeszcze

do nauki a ona pamięta przecie dobrze, że mu już dziewięć lat mija. — I dziś rano i teraz przed obiadem Fajga o tem samem prawila, pan Szmul z niechęcią, jak zwykle, głową potrząsał i na drzwi spoglądał oczekując malca, aby go obecnością swoją odgadatiwości starej kobiety uwolnił.

Nie czekał długo. Drzwi się otwarły i Chaimek zawisł na szyi ojca.

— Gdzieżeś ty był, mały hultaju?—spytał przyciskając chłopca do siebie.

— U Marcina... u pana Marcina—poważnie jakoś odpowiedział. — Ale mój tatuniu, ja mam prośbę wielką.

Pilno mu było.

— Ty... prośbę? Hm, to pewnie chciałbyś tych dobrych karmelków... co?...

— Nie... co innego wcale... zupełnie coś innego. Ja chciałem prosić, żeby... żeby mnie ojciec do szkoły zaprowadził.

Pan Szmul ostupiał. Wypuścił z rąk syna, wpatrzył się w te duże, rozumne oczy, i prawie groźnie zapytał:

— Czy ci to Fajga kazała powiedzieć?

— Fajga?... nie... To mi pan Marcin powiedział, że w szkole to się można różnych rzeczy nauczyć... On sam jutro Bronię do szkoły zaprowadzi... Mój tatuniu drogi, przecie ja byłem zawsze grzeczny, posłuszny.

Pan Szmul jeszcze do siebie przyjść nie mógł.

Fajga stawiała właśnie wazę z rosółem.

— Panie Szmul—rzekła uroczyście,—czy pan nie widzi, że to wyraźnie palec boży?... Dziecko samo przychodzi prosić o naukę... niech się pan już nie wzdraga. Ja już pana tyle razy prosiłam, pan nie chciał mnie słuchać, niech pan choć dzieciaka posłucha.

— Toś ty już prosiła ojca?... Jaka ty poczeziwa! Wiesz co, prośmy razem!

I dzieciak przypadł do kolan ojca, złożył błagalnie rączki i duże swe oczy ku twarzy jego skierował.

Z panem Szmulem coś dziwnego się stało.

Zdało mu się, że głos ten proszący, to nie głos syna, ale konającej jego żony; w tych oczach widział prośbę, matki błagającej go o opiekę nad sierotą i... powoli coś go dławić zaczęło, a w całej swej istocie poczuł wielką żalność i głósnym wybuchnął płaczem. Po jakimś czasie przyszedł do siebie.

— Jutro Chaimek pójdzie do szkoły — wyrzekł uroczyście.

Tej nocy pan Szmul rozmawiał z nieboszczką żoną; Fajga widziała ulubienca swego wielkim rabinem—cudotwórcą; a Chaimek położył pod poduszką obrazek i snił o królu co złączył dwa narody...

(dok. nast.)

O G Ł O S Z E N I A.

S

przedają się dwa folwarki. Mogą być również rozkolonizowane na działki. Lasu 4600 morg. Wolyńskiej Gubernii, Kowelskiego Powiatu, — **Odległe** 50 w. od miasta Kowel gdzie kolej Nadwiślańska łączy się z koleją Brzesko-Kijowską; — 50 w. od Zalipia, stacyi kolei Zabińsko-Pińskiej; — 25 w. od zaprojektowanej Kowelsko-Dąbrowickiej strategicznej kolei, Stacyi Okońsk; — 25 w. od miasta Lubieszów, portu nad spławną rzeką Stochod (dalej Prypeć, Dniepr); — 15 w. od zarządu gminy, w mieście Kamień Koszerski; — 15 w. od poczty w Czerwiszczu.

1. Folwark **Krymno**, grunta żytnie, zaokrąglone; ornej 662 morgi; — Łąk 454 morg.; — Lasu mieszanego 164 m. nieużytków 32 m. — Ogół 1250 m. — Dwór z ogrodem odeswi, — obszerne budynki folwarczne pośród pól — ubezpieczone razem 8600. rs.

2. Nowo-utworzony folwark **Skomorocha**, grunta żytnie, — ornej 92 m. — Łąk 100 m. — Lasu dobrego mieszanego 762 m. z nich większa część może być dobrą pod orkę lub łąki; — nieużytków 7 m. ogół 963 morgi.

3. **Las**, — w nim Sadyby z ogrodami 20 morg.; — Łąk 220 m. Sosniny od 40—60 letniej 1600 morg. — mieszanego 1200 m. — czarno-lesia 400 m. którego większa część byłaby korzystną pod posiewy lub łąki; — Zarośli sosnowych 800 m.; — Błot z krzakami 400 m. Użytków 30 m. — Ogół 4600 morgów.

Blizszych szczegółów udziela:

1) na miejscu w Krymnie zarządzający Nikanor Iwanowicz Hryniewiczcki.

2) w **Lublinie**, Adwokat P. Władysław Rogowski.

3) w **Warszawie**, córka właścicielki P. Ludwika Bielska, przy Wspólnej 20.

4) **Umocowana do Sprzedaży** córka właścicielki P. Joanna (Ludwikowna) Zawadzka w **Homlu**, — Mogilewskiej Gubernii. Agentem sprzedaży będzie wypłacony umówiony procent za pośrednictwo.

(R. i Fr. 12933)

(3—3)

Żadana jest dzierżawa

Majątku Ziemińskiego

w przestrzeni **700 do 800 morgów** z dostatecznymi budynkami, na lat 12. Kauzja może być wypłaconą w ilości rs. 2000, jak również roczna z góry cena dzierżawna. Blizsza informacja w Nowo-Radomsku, Hotel Krakowski № 6.

(3—2)

D-r Bolesław Brzozowski

lekarz — dentysta

w uniwersytetach Berlińskim i Dorpackim wykwalifikowany, powrócił do Czestochowy, gdzie od lat trzech stale praktykuje.

Pacyjentów przyjmuje codziennie od godziny **10—1-ej** przed południem i od godziny **3—5-ej** po południu.

(3—2)

„ECHO MUZYCZNE I TEATRALNE”

Tygodnik poświęcony Teatrowi Muzyce, Sztukom pięknym i Literaturze dramatycznej.

z Ilustracyjami

wychodzić zaczęło w Warszawie z dniem 1 Października 1883 roku przy współudziale najcelniejszych sił literackich POLSKICH i ZAGRANICZNYCH i pomieszcza:

życiorysy artystów z portretami, rozprawy z dziedziny estetycznej, sprawozdania z powszechnego ruchu artystycznego, artykuły w kwestyjach żywotnych sztuki i literatury dramatycznej, nowelle, utwory dramatyczne, poezyje, ilustracje grup scenicznych oraz utwory muzyczne polskich i zagranicznych kompozytów.

Bezplatny dodatek muzyczny, dołączany co 2 tygodnie składa się z 2-ech arkuszy oryginalnych kompozycji na fortepian i do śpiewu, kompozytów polskich i zagranicznych. Cena takiego dodatku w składzie księgarskim wynosi kop. 40: tym sposobem sam tylko dodatek bezpłatny tworzy z końcem roku wartość rs. 10 kop. 40.

CENA PRENUMERATY:

	w Warszawie	na Prow. i w Cesar.	w Austrii	w Niemczech
kwartalne	Rs. 2.	Rs. 2 kop. 50.	Złr. 3	Mar 5
półroczne	„ 4.	„ 5 „ —.	„ 6	„ 10
rocznie	„ 8.	„ 10 „ —.	„ 12	„ 20

łącznie z doręczaniem do domów lub z przesyłką pocztową.

Adres Redakcyi i Ekspedycyi: Warszawa, Senatorska 18, przy Biurze Ogłoszeń Rajchmana i Frendlera.

Prenumerować można we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Polecając się PP. Obywatelom ziemskim i kupcom zbożowym do komisowej sprzedaży zboża w Warszawie i w Gdańsku, upraszamy transporty zbożowe wystawne do nas do Warszawy, adresować:

Kuczyński i Makomaski, Warszawa
Magazyny tranzytowe

i objaśniamy, że zboże z magazynów tych stosownie do konjunktury, za opłatą frachtu podług taryf miejscowej komunikacji, może być sprzedane na miejscową konsumpcję; za opłatą zaś frachtu podług taryf taniej bezpośredniej komunikacji, może być sprzedane na eksport wprost młynarzom i kupcom zagranicznym. W magazynach tranzytowych za opłatą bardzo nieznacznej składowej, zboże przez dni 30 nie utraci przywileju dalszej wysyłki zagranicę podług taryf bezpośredniej komunikacji. — Transporty wysyłane do Gdańska prosimy jak dotąd adresować: „Kuczyński i Makomaski” — Gdańsk.

Worki pod zboże na żądanie nadsyłamy. Na wysłany towar dajemy zaliczki. Na zamówienia dostawiamy do każdej stacyi dróg żelaznych, wszelkie gatunki zboża; Panom ziemianom polecamy głównie tani **rosyjski owies** i przy tegorocznym nieurodzaju kartolki **kukurydze**, do wyrobu okowity. Wszelkie objaśnienia co do cen, miejsc wysyłki etc., udzielamy odwrotną pocztą.

Dom Komisowo-zbożowy Kuczyński i Makomaski w Warszawie hotel Saski i w Gdańsku.

(R. i Fr. 10882)

(12—10)

SKŁAD WĘGLI
Włodzimierza Sapińskiego

przy rogu Aleksandryjskiej alei.

Sprzedaje węgle w dobrym gatunku. Korzec grubego wagi 240 fun. po 85 kop. — kostkowego po 83 kop. Na miarę w skrzyniach zamkniętych (przez magistrat warszawski opieczętowanych) po 5, 10 i 20 korey, gruby po 83 kop., kostkowy po 81 kop. korzec z odstawą. Na całe wagony z dostawą przed drwalnię, wagon węgla grubego 11,000 kilometr. (110 korey) stosownie do gatunku od 76 rs., takżi kostkowego od 73 rs. Drzewny węgiel kurzony rs. 1. Koks rs. 1 korzec. W składzie sprzedaje się każdą ilość. Zwózki węgla obcego dopelnia: z osobowej stacyi — za wagon rs. 4. Z towarowej stacyi — za wagon rs. 5 za furmankę.

Zamówienia wszelkie należy robić w składzie z góry opłacając.

(13—2)

Do sprzedania
DOM DREWNIANY,

z ogrodem owocowym

w mieście powiatowym **Brzeziny**. Blizsza wiadomość przy ulicy Pocztowej, w domu W-jej Jaworskiej u **A. Bójno**.

(7—1)

PŁUGI

najtansze stosunkowo:

Pług mały rs. 4; samochody mojego systemu rs. 20; podług oryginalnych Sacka do rs. 30. Cenniki wysyłam franco na żądanie. Adres: przez Noworadomsk

(13—3)

Józef Sucheni w Giulach.

Zakład Stolarski

pod firmą

99 **RODZINA**⁶⁶

w Petrokowie,

przeniósł swój Magazyn Mebli do domu W-jej Gra bowieckiej naprzeciwko cerkwi poleca gotowe Meble po cenach umiarkowanych, przyjmuje wszelkie zamówienia budowlane i roboty kościelne, tak gladkie jak i rzeźbione; poleca także Meble piete z fabryki Wojciechów i Trumny metalowe po cenach warszawskich.

(0—15)

Na sprzedanie

Karetkka podwójna Wiedeńska, powóz poczworny Wiedeński, powozik mały Petersburskiej fabryki, para rosłych młodych klaczy gniazdnych z uprzężą.

Wiadomość w Księgarni W-go Jędrzejewicza w Petrokowie.

(3—3)

DO SPRZEDAŻY

MASZYN

i narzędzi gospodarskich

przy domu Komisowym w Nowo-Radomsku potrzebny jest **wspólnik z kapitałem rs. 2500.**

(4—2)

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 24 powieści z francuzkiego p. t. „Tajemnice pałacu sprawiedliwości”.

działal zajęta, mając młody zastęp swych pomocników aptekarzy, Lambardier nie ruszył się z miejsca: trzy- mał pióro w palcach i uderzał niemi o papier, planując go atramentem. Był niby bardzo zajęty swoją robotą a tymczasem myślał zupełnie o czem innym. Przewi- dywał, że za chwilę ojciec Renoult zapyta się o Pau- ling, i po raz dwudziesty powtarzał sobie, co ma po- wiedzieć.

— Już kilka osób weszło i wyszło; ruch tworzył się wokoło, ale Lambardier nie ruszał się i ciągle czekał. — No! no! mówił Renoult, trochę chęci i po- jętności, posadałem ja to wszystko w waszym wieku. — Ah! ojciec Boirain, mój przyjaciel, znał mnie dobrze. — Cenił mnie też jak na to zasługiwałem. No i co! Anatolu, patrz że co robisz, mój chłopcze — czyż nie widzisz, że waga już się przemieszcza? — W istocie, zdaje mi się, że zrobię głupstwo, — rzekł Anatol do ucha Lambardier'a.

— Bądź że cicho, — rzekł ten ostatni.

— Krew zastęga mi w żyłach ze strachu.

— Ale cóż to jest, — rzekł nagle ojciec Renoult, zartzymy się na stołku sklepu, — co się to stało, że Paulina dotąd nie zeszła?

— Chwila stanowa nadeszła... każdy zadrział, ale nikt nie odpowiedział. Ojciec Renoult wydał jeszcze kilka rozkazów, wykspedyjował jakiegoś klienta, po- krecił się tu i tam — i myśli jego znów wróciła do Pauliny. — No i cóż u licha może ona tak długo robić w swoim pokoju? Zwycię wczesniej zchodzi na dół. — Jest tak pójdzie dalej, to nie wykreujemy jej nigdy na kupcową. Prawda Lambardier!

— Ten udaj, że nie słyszysz.

— Czyż nie prawda, Lambardier? — powtórzył Renoult, zaczynając się niecierpliwie.

— No, ale słyszysz, — odpowiedział tenże.

— Dziewięć! — ciągnął Renoult — to coś nadzwyczajnego; musisz się dowiedzieć....

— 185 —

że Paulina jest szczęśliwa. W końcu do czego pro- wadzi cała ta gadanina?

— Do tego mój drogi, że nie trzeba nic robić na polu, i, że często, jeżeli dzieci popełniają błędy, winni temu rodzice.

— Błędy dzieci... powtórzył machinalnie Renoult. — Ależ tu nie chodzi o Paulinę... sądzą. W czem- że by ona zawinić mogła?

— Biedne dziecko!..

— Ale mówże... mów prędzej... czy nie czujesz, że umieram...

— Ah, mój Boże! ależ to bardzo proste... Pauli- na nudziła się tu...

Renoult zadrział.

— Tak — mówił sam do siebie — powinienem był to przeczuć. Nie puszczać jej w świat, w którym żyć nie miała.

— Ona sobie tego nie mówiła, ale pytała dla- czego by tam wejść nie mogła?..

Renoult zbliżył się do Lambardier'a i uchwycił go za rękę.

— Słuchaj, — rzekł, — nie nie ukrywaj przedemną, ale powiedz wszystko co wiesz.

— Otóż, — rzekł Lambardier, — biedna dziewczyna powtarzała sobie tak często, że jest nieszczęśliwą, aż w końcu uwierzyła temu.

Renoult przygnębiony opuścił rękę.

— I może ma żal do mnie, — mówił, — że jej nie daję powozu i koni jak hrabia Andréa daje Marcie, że ją sadzam za kantorem, że nie jestem tak boga- tym, by z niej zrobić księżnę...

— Nie, — odpowiedział Lambardier, — Paulinie za- wróciła się głowa, ale serce pozostało dobre. Mogła ona pragnąć tego, czego nie miała, ale nigdy nie ska- rżyła się na nierówność losu. A gdyby się oto gniewać miała na ciebie, mój biedny Renoult, to byłoby szaleństwem; to też tak nie jest. Dumną jest, żeś jej

Nagle zadrział i o mało nie upadł. Lambardier uka- zał się na skrajnie ulicy Saint Martin. Anatol obej- rzał się, czy ojciec Renoult nie schodzi i pobiegnął na- przeciw Lambardier'a.

— Chodź pan! chodź — wołał z daleka, — przyby- wasz pan zaim zeszł.

— A więc nie rachowałeś na mnie?

— Owszem, ale obawiałem się.

— No, idźże pierwszy.

Anatol usłuchał, a tuż za nim weszł Lambar- dier. Widząc go, niktby nie przypuszczał, że przycho- dzi spełnić rzecz równie ważną jak ta, której się pod- jął. Jeżeli twarz jego nie była uśmiechnięta, była przynajmniej swobodna. Poszedł prosto za kantora, usiadł i zdawał się z wagą przysiadając przechodzą- cym. W parę chwil potem zeszł ojciec Renoult. Dnia tego miał minę rzeczową: wyspał się dobrze, czuł się silnym i dobrze usposobionym, to też zaczął we- solo rękę.

Gdy zobaczył Lambardier'a podszedł ku niemu.

— Oh! oh! — rzekł wesole — otóż prawdziwa nie- spodzianka, ty u mnie i to tak wczesnie!

I tak rozmawiając, po chwili po sklepie, spoglądając od czasu do czasu na robotę komisarzów.

— No! Anatolu, — mówił, — ruszaj się mój chłop- cze... niezdrowsz jestes? Cóż u licha! gdy byłem w two- im wieku, inaczey chodzilem. — Potem zwracając się do drugiego, rzekł:

— No i cóż wy tam sobie myślicie? Goście przy- będą, a nie nie będzie przygotowane.

— O którejże godzinie otworzyliście dziś sklepy? — Ależ o ósmej, panie przyjaciele, — odpowie- dział jeden z chłopców.

— O ósmej! no proszę... widzę, że ja sam będę otwierał teraz sklepy; robilem to przez lat dwadzieścia — gdy ciebie jeszcze nie było na świecie.

Podczas tej wędrowki ojca Renoult, który roz-

— 184 —

— Ten człowiek? — odpowiedział Forestier — ależ to wice-hrabia Andréa.

— Czy jesteś tego pewnym?

— Cóż za żart!...

— Ależ bo podczas naszej rozmowy, szczegól- niejsza myśl zajaśniała mi w głowie.

— Przecież ja go znam.

— I widzisz go często?

— Ile razy jestem w Paryżu.

— I nigdy nie widziałeś go gdzie indziej, w in- nym stroju, w innym położeniu? Przypomnij sobie?

— Nigdy.

— A to rzecz dziwna! dziwna! — powtarzał Lam- bardier, trąc czoło rękami.

Forestier zadrział; i jemu nagle błysło jakieś światelko przed oczyma. Od kilku chwil zdawało mu się, że Lambardier wyraża głośno to, co on już sobie mówił w duchu. Wprawdzie, myśl ta nie przedsta- wiła mu się jeszcze nigdy wyraźnie, ale miał niepewne podejrzenia, a była chwila, sam to uznawał, w której podejrzenia jego posunęły się znacznie dalej, niż podej- rzzenia Lambardier'a. Ten ostatni podniósł oczy i za- trzymał je na twarzy Forestier'a.

— Oszukujesz mnie — dodał z mocą, — załóżę się, że wiesz coś. Czytam to z twej twarzy. Strzeż się i nie igraj ze mną.

— Ależ przysięgam ci...

Uczucie kierujące Lambardier'em było silniejsze niż jego wola. Wyciągnął rękę i palce jego uchwyci- ciły chustkę otaczającą szyję Forestier'a.

— Mów — rzekł — chcę, byś mi wszystko powie- dział. Ty wiesz coś. Ty także uważałeś i odkryłeś, prawda?... przyznaj się. Mów!...

Forestier z trudem uwołał się z uścisku Lambar- dier'a.

— A więc tak, — odpowiedział rzucając wkoło Tajem. pał. spr.

Co powie ojciec Renoult obudzisz się; — to była jedna myśl biednego chłopca. W jaki sposób oznajmić mu o wyjeździe Pauliny? Jak wytkomaczyć jej zniknięcie, jak zobowiązać się w umyśle biedaka do czegoś? Tyś to pytał ciskało się w umyśle biedaka a nie mógł na nie znaleźć odpowiedzi. Zajmował się mimo to, robił wszystko, co do niego należało i czekał ze ścisłym sercem. Po kilka razy starał u schodów prowadzących do pokoju ojca Renoulta, to znów biegł do drzwi od ulicy, i patrzył, czy między powozami krążącymi w tej ludej stronie Paryża, nie dojrzy Lambardiera, na której ostatnią jego nadzieją, nadzieją, na której polegał zupełnie.

Jeżeliby ojciec Renoult zszedł przed przybyciem Lambardiera, usłyszałby siebie, że milcząc będzie uparcie, a i dotkliwej niepowinności. Pozostawi Paulinę bar- dzo cierpiącą; to też serce pękało mu z żalu na wspomnienie bolesnego położenia w jakim ją zostawił.

Przebudzenie się ojca Renoulta.

XV.

Była ósma rano... Anatol otworzył sklep, i przy pomocy innych subiektów spełniał zwykłe poranne czynności.

— Co powie ojciec Renoult obudzisz się; — to była jedna myśl biednego chłopca. W jaki sposób oznajmić mu o wyjeździe Pauliny? Jak wytkomaczyć jej zniknięcie, jak zobowiązać się w umyśle biedaka do czegoś? Tyś to pytał ciskało się w umyśle biedaka a nie mógł na nie znaleźć odpowiedzi. Zajmował się mimo to, robił wszystko, co do niego należało i czekał ze ścisłym sercem. Po kilka razy starał u schodów prowadzących do pokoju ojca Renoulta, to znów biegł do drzwi od ulicy, i patrzył, czy między powozami krążącymi w tej ludej stronie Paryża, nie dojrzy Lambardiera, na której ostatnią jego nadzieją, nadzieją, na której polegał zupełnie.

— 183 —

— Ah! więc i ciebie to teraz zajmuję? — Czy podobna? — Dowiedz — że się, iż nieszczęsną ofiarą zasadzki, — Ciszej. — należesz do niej? — sobie zbrodnię popełnił przed laty w Strasburgu, —

— A jednak, ja ci mówię, że jesteśmy jego igraszka. — Ależ brat jego z nim żyje, a gdyby mógł sądzić... Lambardier przebiegł kilka razy przez pokój, ciężko oddychając, i zaciskając pięści.

— Ah tak, tak, — szeptał przez zęby, — hrabia!... hrabia Andréa Gavioli... Ah, co za wspaniała rękojmia... — Jednakże... — No, tego będziesz bronił, spodziewam — się. Jesteś jego sprzymierzeńcem, powiernikiem; jego narządem.

— Kto wie? — dodał Forestier ironicznie, może być, że jestem jeszcze czem więcej, — A więc tak, masz słusność, może jeszcze czem więcej — a w dniu, w którym się dowiem prawdy, co do zabójstwa hrabiny Andréa, dowiem się pewne wiele i o tobie.

Forestier uśmiechnął się.

— Doprawdy, — rzekł próbując mówić wesoło — nie pojmuję, jaki interes ma dla ciebie ta sprawa; oto powracasz do niej po raz drugi.

— A tak; tego nie możesz zrozumieć, to prawda — odpowiedział Lambardier.

— Nie znasz hrabiny? — Nie, hrabiny nie znałem; ale znam nieszczęśliwego obwinionego.

— Znasz go? — rzekł Forestier.

— Nie tyle jednak, co ty. Czy przypominasz

— 182 —

— Niezawodnie, — rzekł Renoult, córka hrabiego i córka aptekarza nie mogą stanowić dobranej pary przyjaźni, — rozumieć dobrze, że są między nimi różnice o jakich mówisz, a które muszą kiedykolwiek wpłynąć na oziębienie ich stosunku.

— Ty to rozumiesz? — No rozumiem, rozumiem dlatego, że ty to mówisz, i dlatego że wiem o tem; ale tego nie przypuszczam w tym wypadku. Moja Paulina sto razy więcej warta od Marty. I cóż ztąd, że Marta jest córką hrabiego? — nie jest ona ani ładniejsza ani więcej elegancka od Pauliny. Jeżeli utrzymujesz, że Marta więcej warta, to się mylisz; Paulina przewyższa wszystkie hrabianki i sercem i umysłem.

— Nie mam nic przeciwko temu, mój przyjacielu, — rzekł Lambardier. — Zresztą jest to także i moje zdanie, że Marta i Paulina warte są siebie. I dlatego to właśnie, jedna jest szczęśliwą a druga — nie.

— Co ty mówisz? — Marta dziś jest wprawdzie nieszczęśliwą, bo opłakuje stratę matki, która ją ubóstwiała, ale z innej strony nie brak jej niczego, ma wszystko na zawołanie... konie, powozy, kosztowne zacheianki... sam nie wiem czego jej brak.

— Ależ i ja jestem równie bogaty, a nigdy nie pomyślałem, że mogę mieć powóz.

— Ale któż ci zaręczy, że Paulina o tem nie myślała? widziała konie Marty, jej powozy, widziała przepych w pałacu Andréa; nie tylko zresztą widziała, ale i używała tego wszystkiego a potem powróciła tutaj... — Do domu swego ojca... — Tak jest, do domu swego ojca, gdzie wszystko jest proste, gdzie mówi się tylko o handlu, o sprężkach terminowych, gdzie jest sklep, gdzie się wazy od rana do nocy, gdzie jest wielka księga rachunkowa; jednym słowem na ulicę de la Verrerie, gdzie dzień za dniem upływa monotannie, smutno.

Renoult poruszył się niecierpliwie.

— Przesadzasz — rzekł z goryczą. — Jestem pewien,

— 186 —

— Cheć pomówić z tobą o Paulinie. — O Paulinie? czegoż chcesz od niej. — Słuchaj: dziewczyna jest młoda a tu u ciebie osamotniona, zupełnie, sama; któregokolwiek dnia znu- dzi się i przyjdzie jej choć wydobycia się ztąd. — Nie rozumiem ciebie, — rzekł Renoult — który już czuł pot spływający mu po czole. — Paulina ma jedną tylko przyjaźniokę, Martę. — Czyż to nie dosyć? — Niezawodnie, ale Marta to nieodpowiednie towarzyszwo dla Pauliny; widzą się rzadko, bo położenie towarzyskie je dzieli... I dlatego to, widując się niewiele — kochają się, a jednak są z sobą z daleka, tak, że choć chętnie podzieliłyby się swymi makami tajem- nicami — milczą, aż na raz poczują brak powiernicy, brak przyjaźni.

— Niezawodnie, — rzekł Renoult, córka hrabiego i córka aptekarza nie mogą stanowić dobranej pary przyjaźni, — rozumieć dobrze, że są między nimi różnice o jakich mówisz, a które muszą kiedykolwiek wpłynąć na oziębienie ich stosunku.

— Ty to rozumiesz? — No rozumiem, rozumiem dlatego, że ty to mówisz, i dlatego że wiem o tem; ale tego nie przypuszczam w tym wypadku. Moja Paulina sto razy więcej warta od Marty. I cóż ztąd, że Marta jest córką hrabiego? — nie jest ona ani ładniejsza ani więcej elegancka od Pauliny. Jeżeli utrzymujesz, że Marta więcej warta, to się mylisz; Paulina przewyższa wszystkie hrabianki i sercem i umysłem.

— Nie mam nic przeciwko temu, mój przyjacielu, — rzekł Lambardier. — Zresztą jest to także i moje zdanie, że Marta i Paulina warte są siebie. I dlatego to właśnie, jedna jest szczęśliwą a druga — nie.

— Co ty mówisz? — Marta dziś jest wprawdzie nieszczęśliwą, bo opłakuje stratę matki, która ją ubóstwiała, ale z innej strony nie brak jej niczego, ma wszystko na zawołanie... konie, powozy, kosztowne zacheianki... sam nie wiem czego jej brak.

— Ależ i ja jestem równie bogaty, a nigdy nie pomyślałem, że mogę mieć powóz.

— Ale któż ci zaręczy, że Paulina o tem nie myślała? widziała konie Marty, jej powozy, widziała przepych w pałacu Andréa; nie tylko zresztą widziała, ale i używała tego wszystkiego a potem powróciła tutaj... — Do domu swego ojca... — Tak jest, do domu swego ojca, gdzie wszystko jest proste, gdzie mówi się tylko o handlu, o sprężkach terminowych, gdzie jest sklep, gdzie się wazy od rana do nocy, gdzie jest wielka księga rachunkowa; jednym słowem na ulicę de la Verrerie, gdzie dzień za dniem upływa monotannie, smutno.

Renoult poruszył się niecierpliwie.

— Przesadzasz — rzekł z goryczą. — Jestem pewien,

— 187 —